

— Tak, panie doktorze, Leonora Arnym jest równie niewinną morderstwa Franka, jak i my obaj.

— Ależ takie wyrażne poszlaki!

Oparte na płytkich pozorach, a nie na głębszym zbadaniu natury psychicznej mniemanego złoicy.

— Więc ktoś jest tym zbrodniarzem?

— Z raz opowiem. Proszę o cierpliwość, bo rzecz długa: Po owej nieszczęsnej nocy wszyscy uparli się posądzać Leonorę Arnym o spienienie morderstwa. Muszę tu powiedzieć z wielkiem zadowoleniem, że ja jedyn nie podzielałem tej opinii. Panny Leonory Arnym nie znałem wcale, nie widziałem nawet, ale i z opowiadań i ze sposobu jej postępowania przekonałem się, że to osoba uczciwa, dzielna, szczerą, odważną. Już to samo, że tak bardzo odczuła wyrządzoną sobie przez Arteveldego zniewagę, wskazuje jasno, że do czynu skrytego, podstępnego nie byłaby zdolna. Mógłbym raczej w to wierzyć, że mogłaby jawnie, bez trwogi, w uniesieniu gniewu zastrzelić kogoś, a może i zaszytyłować, ale nie uczyniłaby tego skrycie, z rozmysłem, w sposób zadziecki.

Czytałem jej listy pisane do przyjaciółki i te najwyraźniej świadczyły, że Leonora Arnym ma charakter szlachetny, nawet wzniosły. Jest w jej naturze bardzo wiele owej szlachetnej dumy, która bywa zwykle najdzielniejszym sprzymierzeńcem uczciwości.

To wszystko nie pozwalało mi pogodzić się z tą myślą, aby taka osoba dopuściła się skrytobójczego morderstwa. Oglądając zwłoki Arteveldego widziałem dokładnie, że cios śmiertelny musiał wyjść z ręki bardzo wprawnej i już doświadczonej. Nie można przypuszczać, żeby osoba, która nigdy żadnej zbrodni nie popełniła, mogła była zadać cios tak dobrze obliczony, będąc przecież niesłuchanie wzruszoną tym wszystkim, czego doznała w czasie biesiady weselnej. Czyniąc różne poszukiwania stwierdziłem, że owej nocy, w której mord popełniono, otwarcie było przejście z willi Arteveldego do domu sąsiedniego, wówczas jeszcze niezamieszkałego.

Owo przejście tworzy oszklony ganek. Zbrodniarz dostał się więc niepostrzeżenie z pustego domu przez oszklony ganek do sypialni Arteveldego. Przeglądając papiery zamordowanego, znalazłem w nich listy, które dowodzą, że jest w Chicago pewna kobieta, wobec której Artevelde zaciągnął jakieś erotyczne zobowiązania, a ona prośbą i groźbą domagała się ich spełnienia. Dowiedziawszy się, że Artevelde ma zamiar żenić się z Leonorą Arnym, była tak oburzona, iż czyniła nawet nie licując z jej stanowiskiem zabiegi, aby temu przeszkodzić.

Te listy były dla mnie nicją przewodnią do szukania prawdy i tej prawdy szukałem, aż ją znalazłem; dopóty szukałem dowodów, aż ich pod dostatkiem zebrałem i te aż z zadowoleniem powtarzam, że Leonora Arnym niewinna, a morderczynią jest inna kobieta.

— Któż taki? — zapytał dr. Halle nadzwyczaj zaintrygowany.

— Laura Durand, adoptowana córka tego oto pana — odpowiedział Stuart poważnie i spokojnie.

Adwokat zerwał się z miejsca i spojrzał na mówiącego z takim osłupieniem, jakgdyby usłyszał rzecz wprost niemożliwą. Stuart mówił dalej z tym samym spokojem.

— Wierząc mi panowie, że ja sam zdumiewałem się nie mniej od was, gdy ta przewrotną kobietę udało mi się zdema kować. Ile to trzeba było czynić zabiegów, ażeby dotrzeć do dna tej zbrodniczej duszy. Zwolna, stopniowo utrwalałem swoje domysły, zbierając poszlaki a potem dowody. I oto mam dowody, że tak zwana panna Laura ukradła dwadzieścia tysięcy dolarów z biurka pana Duranda, że swoją dobrodziejkę, która ją za córkę przybrała, chciała pozbawić życia, podsuwając jej w różnych formach truciznę. Na szczęście odkryłem to wcześnie, ostrzegłem pana Duranda i tym sposobem zapobiegliśmy zbrodni. Tak zwana panna Laura Durand zamordowała też Arteveldego. Ujął mi się przepatrzyć jej korespondencję z Arteveldem. Przejrzałem też wszystkie jej szkatułki, kufry, szafki i znalazłem tam bardzo ciekawe rzeczy.

Przedewszystkiem kucze, któremi można było otwierać wszystkie drzwi willi, przytykającej do willi Arteveldego. Tymi to kluczami posłużyła się, ażeby z owej pu tej wówczas willi dostać się przez szklany ganek do sypialni zamordowanego. Znalazłem też ciemny płaszcz

w jednym miejscu rozdarty, z tego samego materiału, którego oddarty skrawek pewnego razu Nelly Brown jej pokazała. Ten skrawek Laura wraz z perłową sztylsem i kluczem były schowane w torebkę podróży. Wyjąłem je z torebki, zapelnivszy ją czem innem. Pewnego dnia zaraz o świcie, Laura Durand wzięwszy torebkę, wyszła prętko z domu i pospieszyła na brzeg rzeki. Poszedłem za nią niepostrzeżenie i widziałem, jak ową torebkę do wody rzuciła. Oczywiście nie zaglądała widać do niej i nie wiedziała, że wrzuca do wody niepotrzebne szparęły.

Dlatego widać pragnęła owego poranku usunąć i płaszcz i sztylsem i klucze, że właśnie dnia poprzedniego Nelly Brown pokazywała jej oddarty skrawek płaszcza i groziła zemaskowaniem. Milczenie dawnej swej przyjaciółki i opiekunki okupywała znacznymi ofiarami pieniężnymi, ale wymagania owej panny stawały się coraz większe, więc Laura Durand chciała swoją towarzyszkę uczynić nieszkodliwą i pomógł do tego, że odkryto bandę fałszerzy monet, do której towarzyszką panny Durand należała.

— Owa Nelly Brown jest teraz w więzieniu, gotowa opowiedzieć nam rzeczy bardzo ciekawe.

— Ależ to przerażające! — zawołał dr. Halle.

— Zbrodnie tej osoby są istotnie przerażające, ale sposób, w jaki umiała je ukrywać i popełniać, mistrzostwo w udawaniu osoby uczciwej i skromnej, są może jeszcze potworniejsze, niż sama zbrodnia. Moi panowie, nie bierzcie tego za jakiś zwrot poetycki, gdy powiem, że najszybszy z szatanów mógłby jej pozazdrościć obłudy.

Nastąpiła chwila milczenia; Durand zwiesił głowę, a dr. Halle pocierał czoło. Wreszcie adwokat, zwracając się do Duranda, zapytał tonem przyjacielskim:

— Będzie to dla pana bardzo dośkliwe, gdy adoptowana córka zostanie uwięziona.

— Uwieszenie samo przykrości panu Durandowi nie sprawi — rzekł Stuart. — Przykrą byłaby tylko rozprawa sądowa i zasądzenie, ale zdaje mi się, że bez tego obejść się może, jeżeli tylko pan na to zezwoli, panie doktorze, jako zastępca matki zamordowanego.

— Jak o? Więc zbrodnia miałaby ujść bezkarnie? — zawołał dr. Halle ze zdziwieniem. — Nie rozumiem pana.

— Zaraz wytłumaczę Laura Durand popełniła jeszcze większą zbrodnię w Anglii i za nią przed sądami angielskimi postawiona być może. Czyż nie lepiej, uwięziwszy ją, oddać sądowi angielskiemu, niż stawiać ją przed sądem naszym i oskarżyć o kradzież i morderstwo? Tok rozprawy sądowej musiałby dobyć na jaw co nieco z różnych płochych wybruków zamordowanego, a to dla nieszczęśliwej matki byłoby bardzo bolesne. Również i dla państwa Durandów nie bardzo to pożądané, aby ich nazwisko sorzegać z rozprawą sądową. Laurę Durand mogłem być już dawno uwięzić, ale nie chciałem tego czynić bez porozumienia się z panami.

XXVII.

WYZNANIE.

— Jakoś dwa lata temu — opowiadała Nelly Brown — płynęłam z Liverpoolu do New Yorku. Tym samym parowcem płynęli także państwo Durandowie z córką. Nikt z nich nie zwracał na mnie uwagi, bo ja, jako osoba biedna, byłam w drugiej klasie.

Jakże zazdrościłam córce bogatych rodziców, co jak księżniczka używała dostatków, a wyniośle spoglądała na otoczenie, które jej się w dawało niższem od stanowiska rodziców. Wówczas nie przeczuwałam, że wkrótce spotkam się i że połączą nas dziwne stosunki.

Przybywszy do New Yorku, znalazłam skromne zajęcie. Pewnego dnia, wracając do domu, spotkałam na ulicy pannę Durand w towarzystwie młodego człowieka. Wiedzioma po części dziwną jakąś niechęcią ku tej dumnej osobie, postanowiłam ją śledzić. Jakoż przekonałam się, że panna Durand udała się z młodym człowiekiem do pewnego domu, skąd wyszła z nim po dwóch godzinach. Powzięłam myśl, żeby z tego wysnuć dla siebie jakieś korzyści. Dowiedziawszy się o mieszkaniu państwa Durandów, poszłam do panny Laury, opowiedziałam jej wręcz, że ją śledziłam i wysłuchiłam jej

szadzkę z młodym człowiekiem. Aby okupić moje milczenie ofiarowałam mi bardzo cenny pierścionek z brylantami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że państwo Durandowie tylko chwilowo przebywają w New Yorku a mieszkają stale w Chicago. Zdarzyło się, że poznałam Fergus, pokochałam go i z miłości do niego udałam się za nim także do Chicago. Pewnego razu zobaczyłam w teatrze pannę Laurę Durand z tym samym młodym człowiekiem, z którym miała szadzkę w New Yorku. Był to Frank Artevelde. Nakłoniłam Fergus, żeby się z Arteveldem poznał i zaprzyjaźnił, przez co mogłabym dowiadywać się różnych szczegółów z życia tej dumnej córki milionerów, aby ją kiedyś upokorzyć. Po niejakiem czasie miłość Fergusu ku mnie zaczęła nieco stygnąć, co mnie i bolało i niepokoiło. Być może, że moje skromne stanowisko zniechęcało go do mnie, więc zapragnęłam dostać się w sferę lepszego towarzyswa. Fergus pragnął także zawiązać stosunki towarzyskie w wybitniejszych domach miasta.

Aby i sobie i jemu drogę do tego uutorować, udałam się do Laury z żądaniem, aby mnie w charakterze swej towarzyski w dom swych rodziców zaprosił. Z początku opierała się temu zawzięcie, ale wreszcie ustąpiła z obawy, abym nie zdradziła jej zbyt swobodnych stosunków z Frankiem Arteveldem.

Lękałam się mnie i nienawidziłam: byłam dla niej ciągłym wyrzutem sumienia i bezustanną groźbą. Ta nienawiść Laury była mi zupełnie obojętną; Laura była dla mnie niewczepną skarbniczką dochodów i korzyści. Fergus zaprzyjaźnił się coraz ściślej z Arteveldem, żył ze sobą bardzo poufale, więc łatwo było spozstrzedz Fergusowi, że Artevelde odwracać się zaczyna od Laury, że dąży do zerwania dotychczasowych stosunków. Chciał z tego skorzystać i zajął w sercu Laury miejsce swego przyjaciela, aby przez bogate ożenienie wspinać się na wyżyny towarzyskie. To obudziło w niej zazdrość, mściłam się na Laurze, dokuczałam jej zawzięcie, aż ona, znieść tego nie mając, postanowiła się mnie pozbyć.

W pomoc przybył jej Fergus, zniewoliwszy mnie do tego, abym mu pomagała we fałszerstwie monet. Zgodziłam się opuścić dom państwa Durandów dobrowolnie pod warunkiem, że mi Laura zapłaci 20.000 dolarów.

Nie wyobrażałam sobie, aby tak znaczną kwotą dysponować mogła, jednak Laura wyłaciła mi te pieniądze i to zaraz nazajutrz po owym dniu, w którym pana Duranda okradziono. Jakoś około tego czasu zaczęły się rozchodzić w eści, że Artevelde zamierza się ożenić z panną Arnym. Oczywiście, że Laura o tem się dowiedziała i teraz zaczęły się burzliwe sceny. Laura prośbą i groźbą starała się odwieść swego kochanka od ożenienia się z inną kobietą, ale Artevelde był nieugięty. Odwiedziła też pannę Arnym, łudząc się nadzieją, że ją nakłoni do zerwania z Arteveldem.

Gdy i ona doznała zawodu, zmieniła się w dziwny sposób. Stała się tak lodowato spokojną, że musiałam w tem upatrywać jakiś nienormalny stan duszy.

Fergus szukał odpowiedniego mieszkania na założenie schroniska dla fałszerzy monet. Raz nadmieniał coś ogólnikowo, że Fergus szuka mieszkania, bo ma się z nią ożenić. Oczywiście nie mówiłam o właściwym celu. Wtedy bardzo namawiała mnie Laura, abyśmy z Fergusiem wynajęli willę przytykającą do tej, którą Artevelde wynajął dla siebie. Fergusowi ta myśl się spodobała i rzeczywiście mieszkanie to wynajął. Tymczasem klucze od najętego mieszkania oddał mi Fergus do przechowania. Jakoś tak się złożyło, że zaraz po widzeniu się z Fergusiem, gdy mi klucze wręczył, poszłam wprost do Laury. W toku rozmowy opowiedziałam, że mieszkanie wynajęłam i pokazałam klucze.

Wróciwszy do domu, spostrzegłam, że kluczy nie mam. Byłam pewną, że ich nie zgubiłam, więc niezawodnie u Laury zostawić je musiałam. W godzinę potem byam ponownie u Laury, żeby zabrać klucze, ale ich znaleźć nie było można i dopiero na drugi dzień odestała mi je Laura z doniesieniem, że je pod kapną przypadkową znalazła. Wydało mi się to bardzo podejrzané i nasunęło mi się na myśl, że owe klucze zrecznie mi zapłała po to, aby według nich dać zrobić takie same.

(Dokończenie nastąpi)